

OPOWIEŚCI Z MISJI

MALI BRACIA BARANKA



BÓG BŁOGOSŁAWI

Argentyna, Rok 1992

Laferrere, dzielnica nędzy na peryferiach Buenos Aires.

Tam właśnie pojechaliśmy na kilka miesięcy, aby tam, jako mali bracia, postawić nasze pierwsze kroki na ziemi argentyńskiej.

Do którego więc z małych baraków mamy się teraz udać? Którą z tych biednych rodzin poprosić o jałmużnę, o chleb powszedni?

Jakaś kobieta wychodzi nam naprzeciw po piaszczystej drodze.

– *Hola*¹ !

Ośmielamy się zwrócić się do niej z naszą prośbą. Słucha nas, i natychmiast uśmiecha się, kiedy rozumie o co chodzi.

– Cóż za zrządzenie Opatrzności, że możemy przyjąć w naszym domu misjonarzy!

Cóż za zrządzenie Opatrzności, taka była jej odpowiedź i to wystarczyło.

W porywie serdeczności ponagła nas, byśmy szli za nią do jej domu, który znajduje się kilka metrów dalej.

Wchodzimy do środka, do największego pomieszczenia. Dziewczynka w wieku około dziesięciu lat siedzi przy stole. Matka daje jej znak, żeby podeszła i przywitała się z nami, tłumacząc jej, że ci dwaj misjonarze zostaną dzisiaj z nimi na obiad. Prosi, aby szybko poszła do najbliższego sklepu i kupiła co trzeba. Coś tam między sobą szepczą, ale my nie słyszymy, o czym mówią. Dziewczynka wybiega...

Wraca szybko, z rękami pełnymi zakupów. Mama natomiast pośpiesznie nakrywa do stołu, jak na jakieś święto, bo dla niej odwiedziny tych dwóch misjonarzy to wizyta z Nieba.

Dziękujemy za odwiedziny! Ileż to razy, kiedy my dziękowaliśmy, słyszeliśmy te słowa z ust tych, którzy nas przyjmowali!

Spędziliśmy z nimi prawie dwie godziny. Wiele rozmawialiśmy... o wierze w Boga. O tej wierze, pozwalającej nie załamywać się w trudnych sytuacjach i codziennych zmaganiach, którym musi sprostać mieszkająca w biednej dzielnicy rodzina - od wielu miesięcy ojciec rodziny jest bez pracy, a trzeba nakarmić dzieci;

¹ Tu oznacza « Witajcie »!



Misje małych braci

rodzina z trudem się utrzymuje. Jednak serce matki nie może się wahać. Jej wiara jest wielka, bo oparta na Skale, którą jest Dobry, bardzo Dobry Bóg, który ich nie opuści.

Modlimy się razem, prosząc o obfite, o przeobfite błogosławieństwo dla tej rodziny.

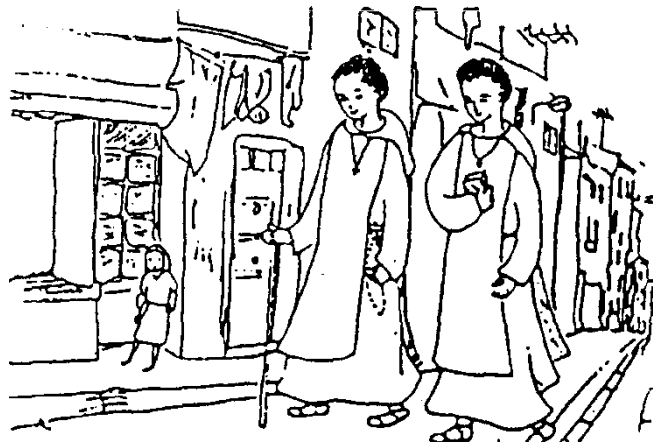
Opuszczamy ją głęboko wzruszeni, a zarazem umocnieni świadectwem wiary matki oraz jakby wzniesieni na skale zaufania...

Minęło pięć lat. Powróciliśmy do Laferrere, lecz tym razem, aby tam również zamieszkać w małym domku.

Pewnego dnia, gdy przemierzaliśmy ulice tej dzielnicy, zawołała nas nagle młoda dziewczyna. Podeszła do nas i powiedziała:

– Pamiętacie mnie? Bo ja was pamiętam! Przed pięcioma laty dwóch misjonarzy, ubranych tak jak wy, przyszło do nas. Tego dnia niczego nie mieliśmy w domu... Mama wysłała mnie, abym kupiła coś do jedzenia, powiedziała, że mam wziąć na kredyt... Następnie przygotowała świąteczną ucztę, którą zjedliśmy razem. Ale... ale pewnie o tym nie wiecie, że po waszej wizycie tata znalazł nową pracę! I od tego dnia nigdy nie zabrakło chleba w naszym domu!...

Tak, pamiętamy, ale nie wiedzieliśmy, że aż tak hojnie matka podzieliła się wówczas z nami tym, co miała. Ona także, jak wdowa z Ewangelii, oddała wszystko. W geście *całkowitej bezinteresowności*. W ogromnym zaufaniu Opatrzności.



PIERWSZY DZIEŃ NOWEGO ROKU

Wiedeń, styczeń, rok 2002.

Pierwszy stycznia, święto Świętej Bożej Rodzicielki.

Tego ranka nikogo nie było na ulicach i wydawało się, że całe miasto ogarnął jakiś rodzaj otępienia. Na chodnikach, a nawet czasem na środku ulicy, leżało mnóstwo szkła ze stłuczonych butelek.

Przez całą noc słychać było ciągle wybuchy petard, śmiechy i wrzaski. A jednak pośród tego ogłuszającego hałasu, od którego prawie trzęsły się mury kaplicy, nie ustawał w niej nasz śpiew ku czci Bożej Rodzicielki, która zaledwie kilka dni temu w ciszy i ubóstwie, wydała na świat Jezusa, naszego Zbawiciela.

O północy zabrzmiał *Pummerin*. Majestatyczny, uroczysty dźwięk dzwonu *katedry św. Szczepana - Stephansdom*, jak powolne i bezpieczne bicie spokojnego serca, roznosił się nad odurzonym miastem. W ciemnej, przesyconej krzykami nocy, rozległo się bicie wielkiego dzwonu, czuwającego jak matka!

O świcie ucichły odgłosy świętowania. Pierwszy poranek roku budził się nad wielkim miastem. Dlaczego więc w ten świąteczny poranek piękny Wiedeń sprawiał wrażenie miasta opustoszałego i podobnego do widma? Gdzież podziały się te rozbawione twarze, serca przepelnione lekkością, radością i zapalem do życia? Dlaczego wszyscy ludzie nie wyszli na zewnątrz, szczęśliwi, że mogą przywitać się, uściskać, składać sobie najlepsze życzenia?

Wszyscy spali. Wokół nas panowała cisza, jakby wszystko było pogrążone w żalobie.

Z pokrytego pierzastymi chmurami, nieprzejrzystego nieba przebijało kilka promieni słońca rzucając żywe światło na ulicę, którą szliśmy. Idąc jeden obok drugiego my również pogrążeni byliśmy w „ciężkiej” ciszy. Coś nam przeszkadzało tego ranka w dogadaniu się ze sobą, a to właśnie dzisiaj, jakby umyślnie, posłano nas razem, aby prosić o chleb. Razem, jak bracia! Wyobrażamy sobie, że bracia ponieważ są braćmi, są zawsze mili, uprzejmi... To zależy dla kogo! Tak więc, na dobry początek nowego roku, nie byliśmy zbyt skłonni łaskawie się do siebie uśmiechnąć czy coś powiedzieć.

Jakiś samochód zabrał nas do dzielnicy na przedmieściu. Tutaj też ludzie sprawiali wrażenie pogrążonych w głębokim śnie. A jednak jakieś drzwi się otworzyły i jakaś pani z Turcji podzieliła się z nami częścią swojego posiłku. Złożyła w nasze ręce chlebowy placek, starannie zawinięty w folię aluminiową, ser i dwie małe torebki z ciepłymi jeszcze ciasteczkami.



Misje małych braci

Piętro niżej, inna rodzina turecka uzupełniła ten posiłek, dając nam jeszcze chleb, konserwę rybną i litr soku owocowego, bo przecież, jak głośno i serdecznie obwieścił nam to ojciec rodziny, „dzisiaj jest święto”!

Na dworze zaskoczyło nas zimno. Lodowate zimno, przenikające aż do szpiku kości, sprawiło, że ciężko było poruszać rękami i nogami. Musieliśmy zacząć szukać jakiegoś schronienia.

Nagle, jakiś mężczyzna na chodniku po drugiej stronie ulicy, widząc nas, przeszedł przez ulicę i skierował się prosto w naszą stronę.

Był to młody człowiek, miał około trzydziestu lat. Jego wygląd, choć bardzo niechlujny, pozwalał sądzić, że nie mieszkał w tej ubogiej dzielnicy. Wyciągnął rękę i nalegając wręczył nam banknot, mamrocząc kilka słów. Jego twarz wyrażała ogromny niepokój.

Słyszając, że jeden z nas prosił drugiego o przetłumaczenie tego, co nam powiedział, powtórzył od razu po francusku:

– Weźcie te pieniądze i módlcie się za mnie, módlcie się za mnie!

Słysząc było błaganie w jego głosie. Zaproponowaliśmy, że pomodlimy się za niego od razu. Przed wejściem do budynku, zebraliśmy z nim i dla niego, o pomoc od Boga. *Boże wejrzyj ku wspomżeniu memu! Panie, pośpiesz ku ratunkowi memu!* Wiedzieliśmy, że to wołanie o pomoc, ten wspólny krzyk, wznosił się ku Niebu, przenikał przez chmury, uderzał w Drzwi, pukał do Boga.

Oto jesteśmy, Panie... Nasze ręce są puste, zziębnięte, nie mamy nic... Ach! zaprawdę jesteśmy żebrakami, biedakami! Jak bardzo Ciebie potrzebujemy...

– Ludzie są źli, mówił przez zaciśnięte zęby młody człowiek. Zbyt wiele jest zła, zbyt wiele niesprawiedliwości...

Czy on słyszał modlitwę? Sprawiał wrażenie całkowicie pochłoniętego przez swoje mroczne myśli.

Wówczas jeden z nas zaproponował:

– Chodź z nami. Dostaliśmy trochę jedzenia i jeśli chcesz możemy się nim z tobą podzielić. Musimy tylko znaleźć miejsce na posiłek.

Hans – tak miał na imię – nie kazał się długo prosić. I ku naszemu wielkiemu zdziwieniu, przejął inicjatywę w swoje ręce. Z przerażeniem patrzyliśmy, jak próbował sforsować drzwi wejściowe, przed którymi staliśmy; następnie, widząc, że jego wysiłki spełzły na niczym, zaczął dzwonić domofonem, prosząc z nerwową stanowczością, aby nam otworzono. W końcu jeden z nas zauważył, że nieco dalej drzwi do jakiejś starej kamienicy są uchylone. Uff!

Weszliśmy do dużego przedsionka. Miejsce było ponure. Ze ścian, przesiąkniętych wilgocią tynk odpadał płatami, różne gazetki reklamowe poniewierały się po ziemi.



Misje małych braci

– Byłem zaręczony... powiedział nagle Hans, byłem zaręczony i mieliśmy się pobrać. To było bardzo ważne dla mnie... Ale rodzina mojej narzeczonej sprzeciwiła się małżeństwu.

Słowa uwięzły mu w gardle, po czym nagle, w pełnym buncie, zawołał:

– Świat jest podły! Tyle okropności, tyle nieszczęść... Tyle okropności Wszędzie nędza, wojna, niewinni pomordowani... Tylko to widzimy w telewizji. To przerażające! Trzeba znaleźć jakieś rozwiązanie!

Następnie mówił coraz szybciej, jego słowa stawały się coraz bardziej niedorzeczne.

– Tak dalej być nie może. Trzeba... wytępić złych, żeby przestali istnieć! Chciałbym poświęcić wszystkie siły na budowanie machin wojennych, aby zniszczyć siły zagrażające światu... Oszczędzić ludność, ale uszkodzić sprzęt wojenny tak, aby stał się bezużyteczny! Zbuduję maszyny, które zniszczą cały sprzęt wojenny! Które zniszczą wszelkie zło! - zakończył drżącym głosem.

– Przyjacielu... spokojnie, zwrócił się do niego mały brat, przyjacielu, nie możemy pozwolić zastraszyć się złu. Tak, chcemy pokonać zło, ale bez używania broni tego świata. Nie da się ugasić ognia ogniem, ani nienawiści nienawiścią. Tylko dobro, dobroć, miłość mogą zwyciężyć.

Dobroć, miłość – te słowa rozbrzmiewały w ponurym i bezdusznym przedsiönku, a wraz z nimi powracał pokój.

– A gdybyśmy tak poszukali bardziej godnego miejsca na nasz posiłek, zasugerował z entuzjazmem drugi z małych braci. W końcu dzisiaj jest święto! Gdybyśmy tak mogli znaleźć jakiś stół...

Przedsionek prowadził na podwórko, małe brukowane podwórko, okrągłe, otoczone wielkimi budynkami, i ...och! co za niespodzianka! w rogu podwórka znajdowała się stara deska położona na dwóch drewnianych podstawach! Przypominało to... *stół!* Ależ tak, oczywiście, ten stół czekał na nas od zawsze. Tak pełna troski jest Twoja ręka! Śpiewaj duszo moja, śpiewaj Panu za wszelkie dobro, jakie dla nas czyni.

– Spójrzcie, to nasz stół! wykrzyknął mały brat.

Hans uśmiechnął się. Na jego twarzy pojawiło się światło.

Wówczas, razem, we trójkę, przygotowaliśmy stół, najpiękniejszy świąteczny stół, jaki kiedykolwiek mieliśmy!

Na samym środku położyliśmy okrągły chlebowy placek; po obu stronach, zamiast obrusów, rozłożyliśmy dwie niebieskie serwetki, które zawsze mamy w naszych torbach. Na nich położyliśmy ser i konserwę rybną oraz ciasteczka tureckie, złociste i błyszczące, które dziś rano upiekła tamta kobieta. Nie



Misje małych braci

zapomnieliśmy też o soku owocowym, którym tak hojnie obdarował nas ojciec rodziny na ten świąteczny dzień.

I zaśpiewaliśmy, aby odmówić błogosławieństwo przy tym ofiarowanym nam stole.

Musieliśmy trochę podskakiwać, aby rozgrzać nogi, lecz nasze serca były bardzo gorące. Były przepelnione słodką i ciepłą radością. W ciszy małego podwórka z zachwytem rozkoszowaliśmy się Dobrocią Boga, która tak mocno nam się objawiła poprzez wszystkie te wydarzenia minionej godziny, błogosławionej godziny.

Zaiste, wokół tej starej deski przygotowanej na ucztę, byliśmy jak królowie, uczniowie Królestwa niewidzialnego na ziemi. Z radosnym obliczem, jeden z małych braci zwrócił się do Hansa.

– Widzisz, wyjaśnił z błyskiem radosnego przekomarzania się w oczach, tutaj nie jesteśmy w *Hiltonie*, lecz raczej na „uniwersytecie ubóstwa”. I w pewnym sensie ty również... Nie jest to łatwe, lecz naszym Nauczycielem jest Jezus. Chodzi o to, aby nauczyć się zachwycać wszystkim tym, co Pan nam daje bezinteresownie, z miłości, nawet jeśli wydaje nam się to całkiem małe. Jeśli nie mamy się na baczności, bardzo szybko nasze oczy przestają widzieć. W ubóstwie i nędzy, jaką zdarza się nam gwałtownie odczuwać w głębi nas samych, w cierpieniu naszej duszy, często bardzo dotkliwym, jak tajemnica szczęścia ukrywa się piękny skarb, przyjaźń Jezusa Chrystusa... Spójrz na ten stół i zrozum jak On nas kocha i co właśnie zrobił dla nas trojgą... On nazywa nas *Swoimi przyjaciółmi*.

W drodze powrotnej Hans idzie kawalek z nami. Milczeliśmy, byliśmy szczęśliwi, odtwarzając w naszych sercach to, co przeżyliśmy przed chwilą. Wspominaliśmy z jaką dobrocią te dwie tureckie rodziny zatroszczyły się o nas, następnie jak Pan sprawił, że spotkaliśmy się, i pozwolił, żebyśmy przy świątecznym stole, w ciszy i ubóstwie podwórka jednego z bloków, stali się przyjaciółmi.

Nagle Hans zatrzymał się i patrząc nam prosto w oczy powoli powiedział:

– Muszę wam coś wyznać. W chwili, gdy was spotkałem, chciałem zrobić coś bardzo złego... Miałem zamiar pójść i chodzić po zamrzniętym jeziorze, które wszyscy znają. Chodzić, i...

Nie musiał kończyć tego zdania.

– Jestem szczęśliwy, że was spotkałem, dodał. Po czym każdemu z nas uściśnął dłoń i oddalił się.



LIST

Polska, grudzień, rok 2003.

Było nas trzech małych braci, którzy zebrali o chleb u bram miasta, na zachodzie dużego kraju; żaden z nas nie mówił po angielsku. Ledwie co mogliśmy wypowiedzieć kilka słów, aby prosić o coś do jedzenia... Z Wiednia pojechaliliśmy do Wrocławia, gdzie czekały na nas małe siostry z fraterni w Częstochowie. Przyjaciele zaprosili nas tam na misje w jednej z parafii.

Pamiętam, że tego dnia, jak nigdy, doświadczyłem wielkiego wewnętrznego znużenia. Przemierzaliśmy ulice, pogoda była paskudna, było zimno i wydawało się, że miasto przykryte jest płachtą smutku. Kiedy otwierały się jakieś drzwi, próbowaliśmy uśmiechnąć się i niezręcznie, prawie ze wstydem, wypowiedzieć naszą prośbę, spuszczać wzrok, bo ogarniała nas przemożna chęć ucieczki. Jednak czy nasz Pan nie jest Bogiem, który dla swych biednych nieboraków czyni cuda? Tego dnia pewna kobieta przyjęła nas u siebie, jakbyśmy byli posłańcami z Nieba!



Jakiś czas później dostaliśmy list, który napisała do proboszcza swojej parafii, opowiadając o tym, jak nasze „odwiedziny” rozświetliły jej ponurą codzienność.

Dzięki naszemu spotkaniu, dzięki tym kilku godzinom spędzonym na rozmowie za pomocą Biblii lub gestykulacji, kiedy oglądaliśmy album rodzinny, modliliśmy się, śpiewaliśmy, usłyszała Głos przemawiający w jej sercu, a ten Głos, jak lekki powiew, rozbudził płomyk, gasnący już płomyk nadziei. Bóg był blisko, Bóg tam był, Bóg czuwał, jak tylko Żebrząca Miłość potrafi czuwać u drzwi serca. Jego głos szeptał: Daję ci Moją radość, której nikt nie będzie ci mógł odebrać².

² Por. J 16, 22



Wrocław, 11 grudnia 2003r.

Drogi Księżę Proboszczu,

O trzech zakonnikach... albo mali bracia Baranka.

Za oknem szaro i smutno. W moim sercu też. Modłę się w duchu, aby nie wpaść w depresję. Mam 45 lat i niedawno straciłam pracę. Wszelkie próby szukania nowej pracy spęły na niczym... „Niestety, pani prośba została odrzucona” - i tak bez końca. Szara rzeczywistość zaczęła mnie przerastać. Święta? Jakoś nie mogę sobie wyobrazić tych świąt. Właściwie jestem już żalamana, a moja modlitwa z każdym dniem staje się coraz słabsza.

Patrząc przez okno. Moją uwagę przyciągnęły trzy osoby w niebieskich habitach. Przechodzili przez moje podwórko. Ciekawe, dokąd idą? - pomyślałam. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu zobaczyłam, że... Jak to? Idą do mnie! Mieszkam na parterze, a bracia zatrzymali się właśnie tuż przy moim oknie. Uśmiechają się do mnie. Przyszli więc do mnie??? Specjalnie do mnie?

"Cień dopry. Coś do jedzenia. Chleb i woda"

- powiedzieli łamaną polszczyzną.

Zapraszam ich do mojego mieszkania. Mimo, że w domu mam tylko trochę chleba i makaron, w moim sercu czuję nieopisaną radość z tej wizyty. Jest ich trzech: Francuz, Włoch i Szwajcar. Mówią po niemiecku. Nie mogę się z nimi dogadać. Na szczęście do mojej córki, która mieszka ze mną, przyszła przyjaciółka, która trochę zna niemiecki. To właśnie ona pomogła nam porozumieć się, ale także podzieliła się swoimi zakupami: chlebem, kiełbasą, owocami... Byłam zaskoczona i wzruszona jej postawą. Wiem, że ona też nie ma pracy tak jak ja i moja córka.

Rozmawialiśmy z braćmi trochę po niemiecku, trochę po angielsku oraz gestami. Przyjechali z Wiednia autostopem. Jeden z nich napisał po polsku „mali bracia Baranka”. Zatrzymali się w naszej parafii i chodzą po domach. Każda z nas otrzymała od braci słowo. Ja otrzymałam błogosławieństwa z Ewangelii św. Łukasza: „Błogosławieni jesteście wy, ubodzy, albowiem do was należy królestwo Boże” oraz „Nie martwcie się... Przypatrzcie się ptakom... Jesteście ważniejsi niż ptaki”³ Wielokrotnie słyszałam te słowa w kościele, ale teraz skierowane były bezpośrednio do mnie. Słowa Jezusa. Czyż to nie cudowne?

Pożegnanie było serdeczne. Przed wyjściem jeszcze zaśpiewali. Pięknie.

³ Mt 6, 26



Misje małych braci

Bracia wyszli. Za oknem ten sam szary dzień. A jednak w moim sercu pozostała radość. Wiem - nie można pozwolić, aby nasze troski i problemy zagłuszyły w nas głos Boga, by zagłuszyły to, co Bóg chce nam powiedzieć. On jest obecny w każdym momencie naszego życia. Nie zapomnijmy o Nim i miejmy uszy i oczy otwarte.

Anna

Minęły trzy lata. Przyjechaliśmy ponownie do Wrocławia na zaproszenie braci franciszkanów, który poprosili nas o poprowadzenie rekolekcji dla studentów. W ostatni dzień rekolekcji, tuż przed wyjazdem, bo czekał już na nas samochód, który miał nas odwieźć, ktoś z tyłu ciągnie jednego z braci za rękaw.

- Poznaje mnie brat? To ja, Anna! Nie chciałam pozwolić wam odjechać zanim wam nie powiem o tym, że po waszych odwiedzinach, *tego dnia*, gdy przyszliście do mnie... znalazłam nową pracę, którą mam do tej pory!



Misje małych braci



**„Rozsiewaj ziarno! Wszędzie!
...Jezus sam się wszystkim zajmie!
A ty Mu zaufaj!”**

Kardynał Bergoglio, 28 luty 2013

Pod koniec lutego 2013 roku, mali bracia i siostry z kilku fraterni w Europie zostali wezwani na spotkanie w Santi Quattro Coronati, naszym domu w Rzymie. Około trzydziestu małych braci i sióstr w nim zgromadzonych będzie mogło w ten sposób reprezentować Wspólnotę, pragnącą tam, w sercu Kościoła, które symbolizuje bazylika wzniesiona na grobie apostoła Piotra, swoją modlitwą towarzyszyć wydarzeniu, jakim jest konklawe. Wspólnota pragnie także być obecna na ostatniej audiencji Benedykta XVI, aby okazać jedność z nim i wdzięczność za wszystko, co ten „prosty i skromny robotnik w Winnicy Pańskiej” dał Kościołowi.

Ostatnia audiencja Papieża Benedykta XVI została przewidziana na środę 27 lutego, a nazajutrz jego wyjazd ze Stolicy Piotrowej, jak sam to oświadczył. Spośród małych braci z Saint-Pierre, siedziby naszej wspólnoty w departamencie Aude we Francji, wysłanych do Rzymu, dwóch było wówczas w Paryżu. Ze stolicy Francji wyruszą więc w podróż autostopem. Jeden z nich tak opisał to wędrowanie w kierunku Rzymu:

„Przed nami cztery dni podróży. Przy jednej z bram miasta (*Porte d'Italie*), od samego rana próbujemy zatrzymać jakiś samochód... a około czwartej po południu nadal jesteśmy w tym samym miejscu! Wreszcie zatrzymuje się młody człowiek i wybawia nas z opresji, wioząc nas do stacji benzynowej pod Paryżem. Ponieważ jest późno prosimy osoby, które wchodzą i wychodzą ze sklepu na stacji, aby zabrały nas do Lyonu.

Wreszcie jakiś mężczyzna zgadza się nas zabrać do swojego samochodu, zaprzyjaźniamy się z nim. Mówimy mu, że celem naszej podróży jest Rzym. A on oznajmia nam, że jedzie do Florencji! Jednak dziś wieczorem zatrzyma się w domu, w Lyonie, i wyruszy rano ze swoją żoną. Nie mówi nam jednak jakim środkiem lokomocji będą podróżować. On i jego żona są katolikami, ale czujemy w jego słowach pewien dystans do Kościoła i jego nauki. Rozmowa w samochodzie jest pasjonująca i dynamiczna. Poruszamy najróżniejsze tematy, słuchając się nawzajem bardzo uważnie. Po pewnym czasie, przy coraz większym zaufaniu, dowiadujemy się, że zamierzają pojechać do Włoch samochodem. Jeśli jego żona wyrazi zgodę, dodaje nasz kierowca, przyjmą nas u siebie na noc, a następnie zawiozą aż do



Misje małych braci

Florencji! Po krótkiej rozmowie przez komórkę z panią domu wszystko zostaje załatwione i po kilku godzinach widzimy, jak rozpieszcza nas Opatrzność. Spotkanie z tym małżeństwem jest bardzo piękne. Rozmowy przedłużają się do późna w nocy, a także nazajutrz w samochodzie, aż do wjazdu do Florencji”.

Z Florencji, dwaj mali bracia kontynuowali swoją podróż autostopem i szczęśliwie dotarli do Rzymu na dzień przed audiencją.

28 luty to dzień pełen emocji. Tego dnia, o dwudziestej, Benedykt XVI opuści Stolicę Piotrową. Rano, jeden z dwóch małych braci, pochodzących z Argentyny, idzie do Casa del Clero, do kardynała Bergoglio, aby zaprosić go do nas. Ten ówczesny arcybiskup Buenos Aires jest od dawna przyjacielem Wspólnoty. W 1994 roku przyjął nas, małych braci i małe siostry, abyśmy mogli założyć nasze małe fraternie w stolicy Argentyny.

Korzystając z tego spotkania, pyta co nowego dzieje się u « baranków ». Chce też wiedzieć jak mały brat dotarł do Rzymu, czyli jak przebiegła jego podróż autostopem. Mały brat zaczyna opowiadać, a następnie kończy swoją opowieść, wypowiadając pewne zastrzeżenie:

— Wiesz jednak Ojczy, że pewnie tylko ten jeden jedyny raz spotykamy tych ludzi i...

Wyczuwając niepokój małego brata, Ojciec Bergoglio mówi do niego patrząc mu prosto w oczy:

— Dlaczego się martwisz? Na tym właśnie polega nowa ewangelizacja, że Kościół musi żyć, że trzeba siał! Rozsiewaj ziarno! Wszędzie! Jezus sam się wszystkim zajmie, a ty Mu zaufaj.

